Ewa Kołacz. Fazy światła.



Ewa Kołacz, malarka i poetka z Kanady

John K. Grande

Adeptka sztuki lalkarskiej i poetka Ewa Kołacz (Eva Kolacz) maluje od 1981 roku. Sztukę wizualną artystki wyróżnia ciągłość emocjonalna malarskiego gestu, który bezpośrednio przekłada uczucia na język światła i barw. Jej malarstwo składa się z elementów, które się oddalają, by się zatrzymać i w rezonansie tworzyć przestrzeń podtrzymującą ciągłość ludzkich emocji. (…)

Każdy obraz Ewy Kołacz powstaje na przestrzeni czasu i choć zdaje się on istnieć w konkretnym miejscu, jest to jedynie świat malarski, gdzie każdy scenariusz inspirowany jest emocjami, malowany kolorem i tworzony przez światło. Jej malarstwo wyróżnia bezpośredniość interpretacji. Emocje stają się pejzażem, a wnętrze ulega ciągłej transformacji. Obrazy te są odzewem na potrzeby serca, a powierzchnia obrazu jest określeniem tożsamości zawierającej w sobie miejsca, atmosferę, zmiany i nieskończoność. To wszystko z godnym podziwu wyczuciem koloru. Nie jest łatwo stworzyć dramatyczne i jednocześnie skromne obrazy, aby mogły wyrazić wrażliwość natury ludzkiej. Obrazy istnieją na powierzchni, która staje się głębią światła, kształtującą formę. Są przypowieściami o ludzkim doświadczeniu. (…)

Rzut optyczny w obrazach może być wertykalny lub horyzontalny, podkreślany intensywnym rozproszeniem i

odbiciem, a niekiedy gęstością atmosfery. Każdy z obrazów posiada serię fraz wizualnych, gdzie gest nakłada się na kolejne warstwy obrazu. (…)

Obdarzona wrodzonym zmysłem abstrakcyjnego procesu twórczego, porównywalnym do angielskiego malarza Ivona Hitchens'a, Ewa Kołacz kieruje nas drogami, prowadzonymi przez pędzel. Ten podświadomy proces malowania jest podobny do filmu, ani nie jest nierozwinięty, ani mechaniczny. W przeciwieństwie do malarza techniki automatycznej, Ewa Kołacz podąża za przemyślaną wizualną formą faktur, niczym myśliciel rozkoszujący się malarskością chwili. Teatralność momentu powołuje do życia rzeczywistość wynikłą z procesu twórczego. Jest to podświadomy proces, który kwestionuje własne doświadczenia i metodę pracy. W ten sposób Ewa Kołacz rozwija swój język malarski, wychodząc poza dogmaty modernistyczne, które charakteryzują się stylistyczną zuchwałością, ograniczając swobodę artysty, podążając za maksymami, dyktatami i paradygmatami epoki. Ewa Kołacz ma wyczucie momentu i jego aparycji. Odnajduje formę w procesie malowania. Te formy wyrażają kruchość i ciągłość zmian, w którym bierzemy udział przez chwile. Obcowanie z jej obrazami równa się zagłębieniu w spokojną przestrzeń pełnej syntetyzującej i wibrującej głębi, pól atmosferycznych skąpanych w świetle, (…)

Ewa Kołacz prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo

jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (…) Malarstwo Ewy Kołacz powstało z wielkiej pasji. Jak sama artystka mówi: „Kiedy masz pasję, nie zastanawiasz się, w jaki sposób inni odbierają twoje malarstwo”.

Ewa Kołacz

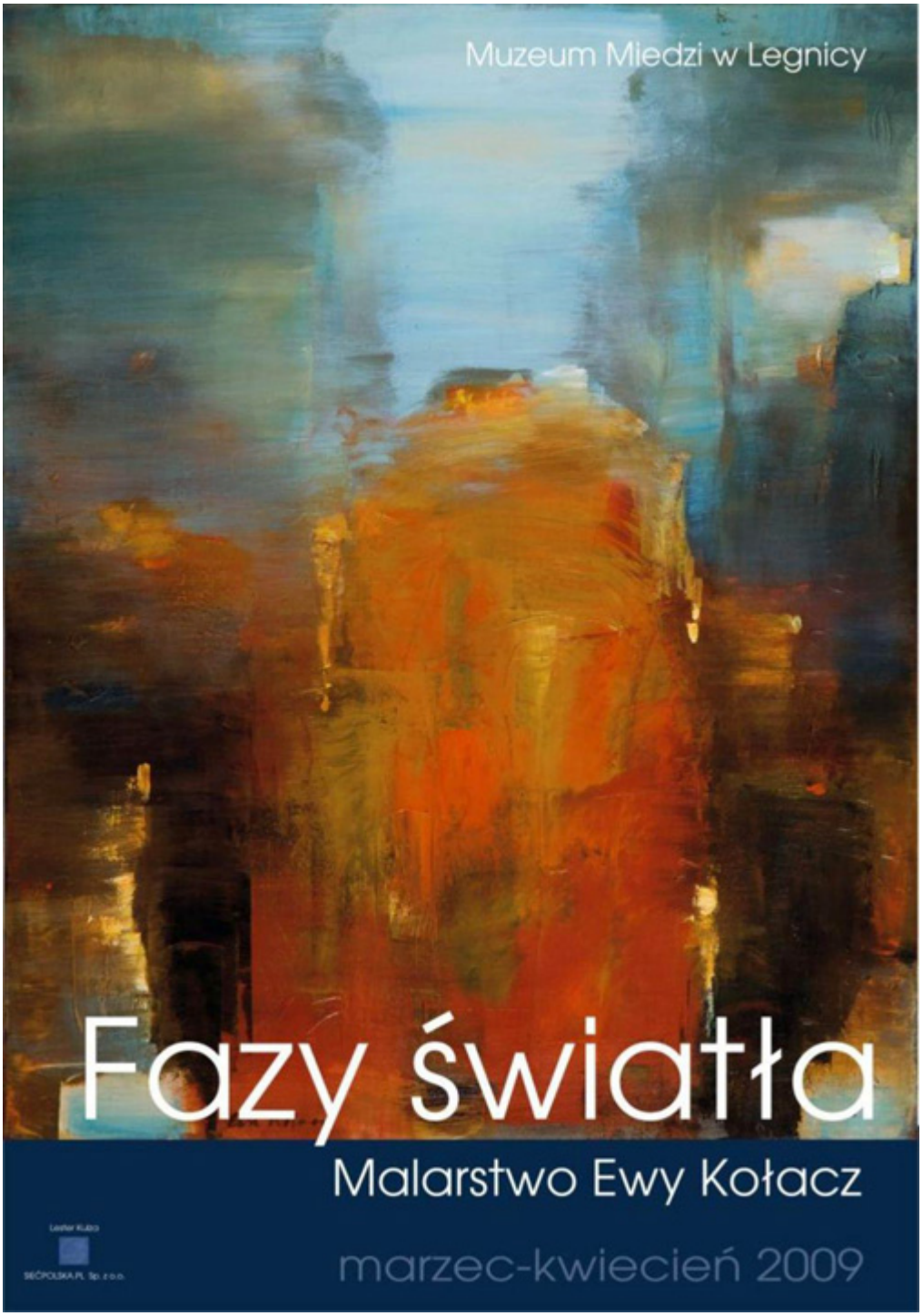

Wciąż są we mnie

brzegi

cichego lata

i złote drgania

wody

owinięte wokół stóp

wszystko

zapisane

momenty

płyną

spokojną strugą

między jednym dniem

a drugim

nocą a nocą

nie dotykać się

w obawie

że sen ten się skończy

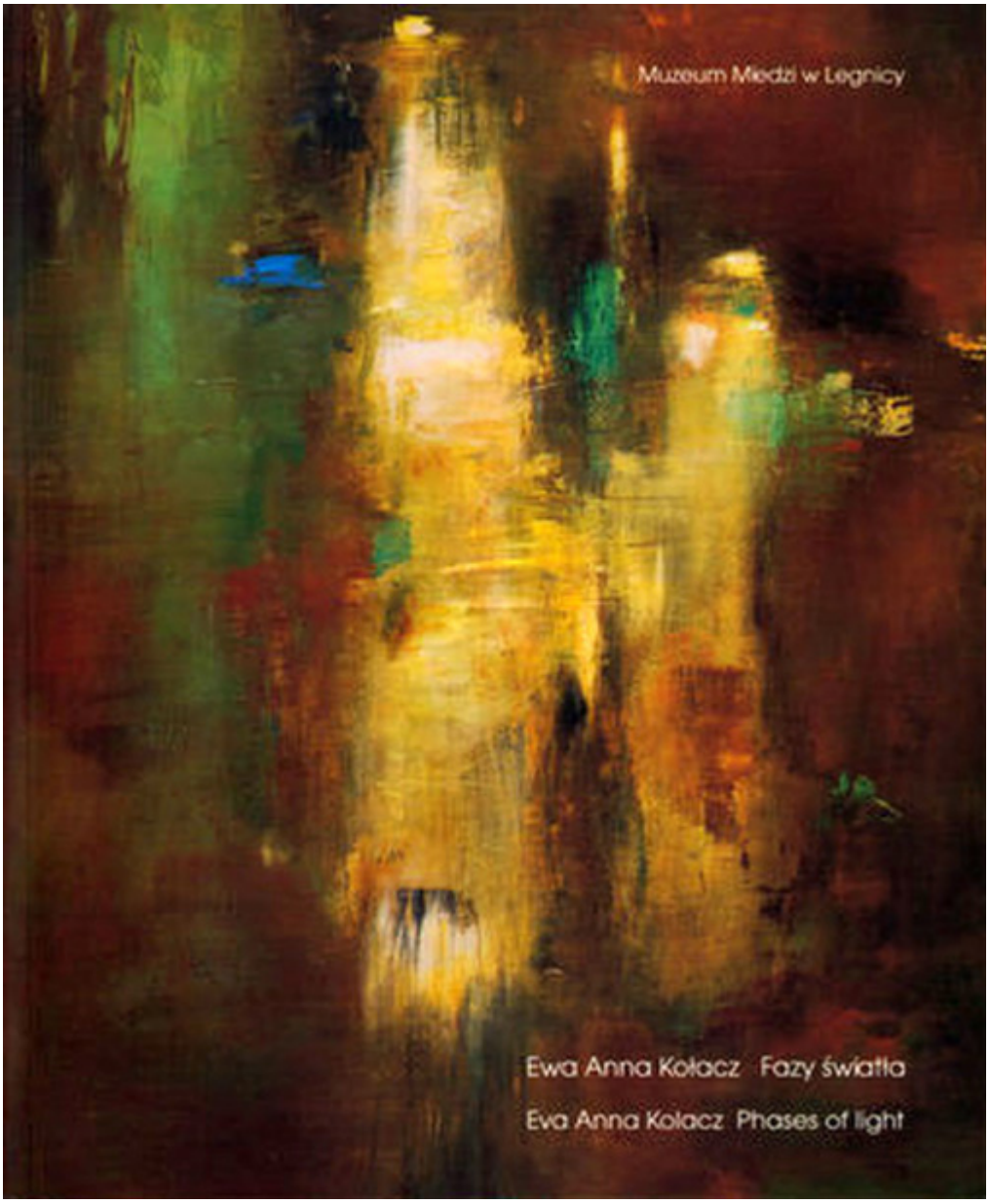

Ewa Kołacz

Wciąż są

we mnie sny

o niebieskich powiekach

i źdźbła trawy

w nich

które rodzą chwile

to tu

zanurzam się cała

bo w śnie

prócz lęków

nie ma

prawdziwego bólu

Prace Ewy Kołacz z albumu „Fazy światła”



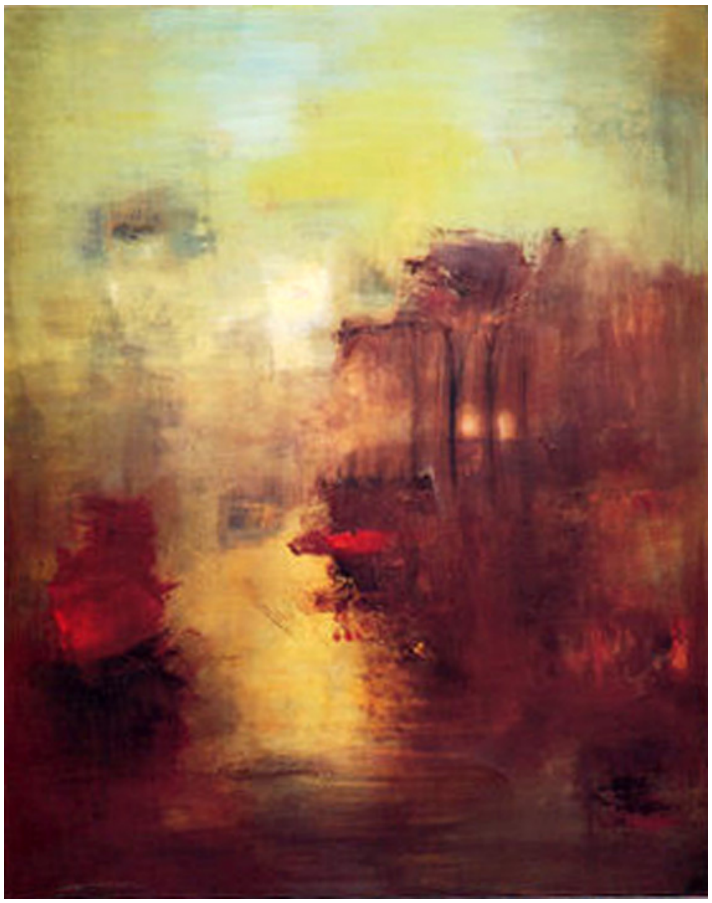

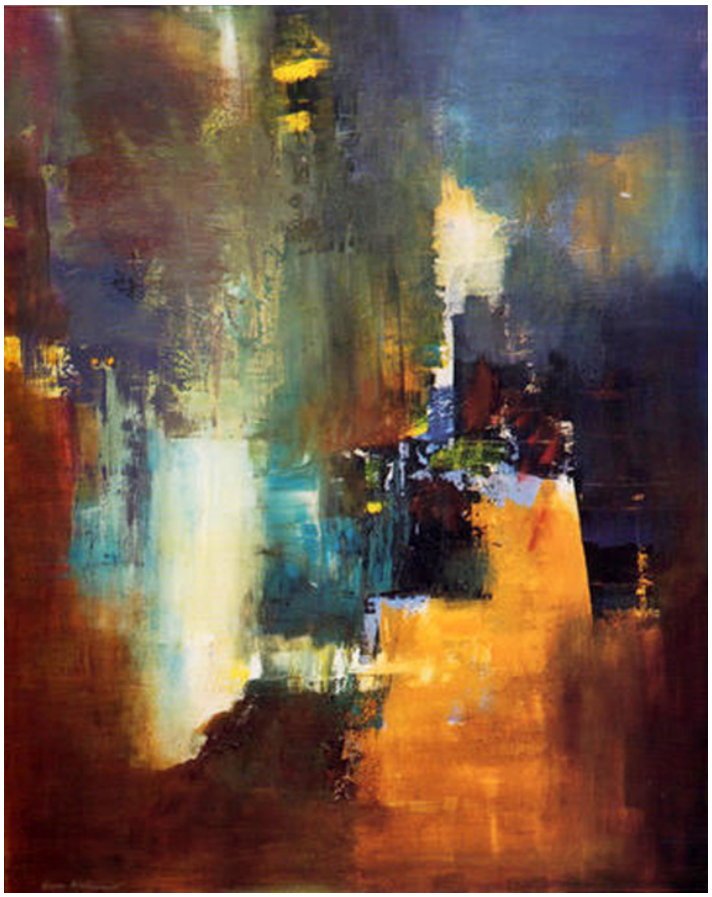







Klarnecista

z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja



Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i

przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym oczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielna” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki

animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić .

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

> …na pewno pamiętasz jakeśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” – a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie

> wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów – FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę – hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

> Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakiekolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – *as far as I know*. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak

Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramatopisarza J.M. Synge'a, tłumaczył Tomasza Moore'a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach", dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku" napisał:

> Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku", że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał

widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite" a nie „explicite", ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

> Moim zdaniem – napisal kiedyś w liście – w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy" jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce – ale przecie „Polały się łzy me…" – to właśnie poezja.



Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdalenki” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”,

„Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalił swe życie, bo grał na klarnecie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

> A niebo było błękitne
>
> jak cyklon w komorze gazowej.

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę nieludzką zbrodniczej przemyślności zdeprawowanego człowieka:

> Ciężka na świecie zima
>
> polska.
>
> Na grudzie zeschnięte
>
> zielska.
>
> Tylko w komorze gazowej
>
> ciepło.
>
> Tylko w sercu człowieka
>
> piekło.

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonej i rozproszonej. I nie napisanej. Poeta, niewątpliwie

obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie cząstkę posiadamy.

W Londynie zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego

Z poetką Anną Frajlich, laureatką nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości w 2016 r., rozmawia Katarzyna Bzowska.



Anna Frajlich, fot. Krzysztof Dubiel

Katarzyna Bzowska:

Od ponad 40 lat mieszka Panie w Stanach Zjednoczonych, ale debiutowała Pani w Londynie w 1976 r. w Oficynie Stanisława Gliwy. Kilka tomików poezji ukazało się w londyskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Publikowała też Pani w „Wiadomościach". Jak doszło do tej współpracy przez ocean?

Anna Frajlich:

Debiutowałam w prasie w Polsce w 1958 roku i będąc jeszcze w liceum w Szczecinie dostałam w tym swoim mieście pierwszą nagrodę literacką. W Polsce publikowałam w róznych pismach niszowych. Tuż przed wyjazdem z Polski w 1969 roku złożyłam tomik w wydawnictwie, ale wyjechaliśmy, a że była to emigracja polityczna, to oczywiście książka nie mogła się ukazać.

Trauma wygnania pogłębiła moje doświadczenia pisarskie. Nawiązanie kontaktu z „Wiadomościami", najważniejszym wówczas pismem literackim na emigracji, było naturalną rzeczą. To ustawiało autora w środowisku emigracji polskiej na całym świecie. Jak doszło do tego? W sposób jak najbardziej zadziwiający – wysłałam wiersze i dostałam niemal entuzjastyczną odpowiedź.

W świecie rządzonym kontaktami i znajomościami wydaje się to mało prawdopodobne, ale takie były „Wiadomości" i taka była Stefania Kossowska. Po kilku wierszach wydrukowanych w „Wiadomościach" miałam wiele drzwi otwartych. Stąd współpraca z pismami w Stanach – z „Przeglądem Polskim", „Tygodnikiem Nowojorskim", a także z „Kulturą" paryską. To mnie nawet w pewnym sensie doprowadziło do doktoratu.

Cztery moje pierwsze tomiki wyszły w emigracyjnych oficynach: u Stanisława Gliwy (*Aby wiatr namalować*, 1976), w Oficynie Poetów i Malarzy (*Tylko ziemia*, 1979; *Który las*, 1986) oraz w amerykańskiej oficynie Stanisława Piaskowskiego Sigma Press (Indian Summer, 1982).

W Londynie spotkałam także Bronisława Przyłuskiego i Tymona Terleckiego. To były dla mnie ważne spotkania i rozmowy. Wyjeżdżając z kraju myślałam, że moje życie się skończyło, dzięki „Wiadomościom" i temu, że Stany są krajem otwartym, ono się dopiero zaczęło. W *Rozmowach ze Stanisławem Gliwą* Mai Elżbiety Cybulskiej oraz w *Definicji szczęścia* Stefanii Kossowskiej można przeczytać wiele na ten temat.

KB: Przyjechała Pani do Londynu, by odebrać nagrodę

Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przyznaną za całokształt twórczości. Jest pani laureatką innych nagród przyznawanych przez fundacje działające poza Polską – Kościelskich oraz Władysława i Nelli Turzańskich. Jakie znaczenie ma dla Pani ta londyńska nagroda w porównaniu z tymi dwiema wymienionymi?

AF:
Londyńska nagroda ma dla mnie ogromne znaczenie, dlatego że jest londyńska właśnie, bo jest związana z miejscem, w którym – jak powiedziałam – zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego. W Londynie ukazała się moja pierwsza książka, w Londynie Stanisław Baliński ogłosił pierwszą recenzję. Byłam kilka razy w Londynie, gdzie miałam wieczory autorskie (w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie także), spotkałam tam paru pisarzy emigracyjnych.

Cenię sobie nadzwyczaj fakt, że po dziesięcioleciach mój dorobek został doceniony właśnie tu. Nie wiem, czy porównywanie tych nagród jest możliwe. Jestem wdzięczna losowi i wszystkim trzem fundacjom za docenienie mej pracy na każdym z tych etapów. Dla pisarza na emigracji, który przeważnie funkcjonuje w oderwaniu od środowisk literackich każda taka nagroda jest oznaką, że jego głos dociera do ludzi, którym poezja

jest potrzebna. Nagroda Kościelskich przeznaczona dla młodych pisarzy, bardzo ceniona do dziś dnia, była dla mnie ogromną podporą i zastrzykiem optymizmu. Niestety, nie stać mnie było wówczas na podróż do Szwajcarii, bo podróż przekroczyłaby koszty samej nagrody. Ale dzięki tej nagrodzie mogłam wydać następną książkę, no i pozostaje ona na zawsze w moim życiorysie.

Nadzwyczaj cenię sobie nagrodę Fundacji im. Turzańskich. Ze środowiskiem w Toronto byłam i pozostaję w bliskich kontaktach, bywałam tam służbowo jako korespondent Wolnej Europy. W owym czasie robiłam wywiady z Wacławem Iwaniukiem i Bohdanem Czaykowskim. Jeździłam też z odczytami i spotkaniami autorskimi, byłam i jestem zaprzyjaźniona z pisarzami z Kanady ze starszej i młodszej generacji: Wacławem Iwaniukiem, Florianem Śmieją, Tamarą Trojanowską, Markiem Kusibą, Edwardem Zymanem. Miałam nawet zaszczyt spotkać samą panią Turzańską. Do dziś jestem im wdzięczna za uznanie i zaszczyt.

Nagroda londyńska za całokształt twórczości jest ukoronowaniem, świadczy też, że widocznie nie zawiodłam moich czytelników i instytucji, które wcześniej doceniły moje wysiłki. I jak zaznaczyłam, ma to dla mnie ogromne uczuciowe i symboliczne znaczenie.

KB:
Pisze Pani zarówno wiersze, jak również krótkie formy literackie prozą, jak choćby wydane w serii „Piętnastka” tomik opowiadań „Laboratorium”, no i jest Pani autorką esejów literackich. Która z tych form twórczości jest pani najbliższa? Co – jako twórcy – przychodzi Pani najtrudniej?

AF: Wiersze zaczęłam pisać już w dzieciństwie i już we wczesnej młodości zaczęłam je publikować. Wiersze są dane.

Jak zwykł mówić Miłosz, dyktuje je Dajmonion. Jak wspomniałam już wcześniej, trauma wygnania niewątpliwie pogłębiła moją percepcję rzeczywistości, co wpłynęło i na poezję. Natomiast proza, artykuły i eseje wymagają nie tylko inspiracji, zdolności, ale i wiedzy, badań oraz samokontroli. Niemniej jednak te sprawy wiążą się ze sobą.

Do pisania prac naukowych czy nawet esejów konieczny jest czas, którego pisarz na emigracji ma niewiele, bo musi najczęściej w innym zawodzie zarabiać na życie. Ale ponieważ i zawodowo jestem literaturoznawcą, więc staram się wypowiadać na różne sposoby. Czasem lektury potrzebne do prac naukowych mogą stać się inspiracją do wiersza. Ale wiersze zdecydowanie

przychodzą same. Nigdy w życiu nie siadałam do biurka z decyzją, że dziś muszę napisać wiersz. Przeciwnie, kiedy wiersz przychodził, często szukałam nerwowo kawałka papieru i czegoś do pisania.

Co przychodzi najtrudniej? – trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, do pisania artykułu można się zmusić, do pisania wiersza – chyba nie.



Wręczenie nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Anna Frajlich i prezes Związku Andrzej Krzeczunowicz.

KB:
Współpracuje Pani z pismami literackimi wydawanymi w Polsce. Jak ocenia Pani polskie pisma literackie, których z roku na rok jest coraz mniej? Czym różnią się one od podobnych pism amerykańskich? Czy mają one przyszłość w konkurencji z internetem, gdzie znacznie łatwiej i szybciej można zamieścić polemiki, krytyki i własną twórczość? Podobno współczesny pisarz „musi" mieć swój blog, bo inaczej się nie liczy. Czy Pani także zamieszcza swoje utwory w internecie?

AF: Z pismami wydawanymi w Polsce współpracuję od ponad dwudziestu lat; jestem na listach stałych współpracowników lubelskiego „Akcentu", szczecińskiego „eleWatora", a przedtem szczecińskich „Pograniczy", współpracuję też z kwartalnikiem „Migotania" i „Kontekstami Kultury", od czasu do czasu zamieszczam wiersze lub inne teksty w „Kwartalniku Artystycznym".

Sytuacja polskich pism literackich jest podobna do pism amerykańskich w tym sensie, że są to w większości pisma niszowe, z małym poparciem finansowym. W Stanach, jak i obecnie w Polsce istnieje decentralizacja. Ale jak i w Polsce, tak i w Stanach te pisma otrzymują jakąś pomoc, powstają często przy uniwersytetach. Są to pisma

istniejące z potrzeby zarówno czytających jak i piszących. Każde z nich wnosi bardzo wiele do wiedzy o kulturze, wzbogaca nas wszystkich. Kiedy dostaję takie pismo, czytam z wielkim zainteresowaniem i wiele się uczę. Mam nadzieję, że się utrzymają, co nie znaczy, że będą w stanie utrzymać autorów. Autorzy, jak w każdym kraju wolnego rynku, muszą się jakoś sami utrzymać.

Z pism amerykańskich prenumeruję i czytam w miarę możliwości czasowych kilka najbardziej znanych, głównie z dziedziny kultury polskiej (na przykład „The Polish Review") i slawistyki.

Naturalnie, że istnieje zagrożenie ze strony internetu. Boją się te j konkurencji największe dzienniki i tygodniki. Mam nadzieję, że przetrwa pismo drukowane. Współczesne tablety przypominają mi trochę starożytne tabliczki woskowe. Internet jest szybszy, ale jest tam za dużo szumu informacyjnego, za mało głębi. Blogu nie prowadzę jak dotychczas. Sama nie zamieszczam w pismach internetowych, ale jak ktoś zwraca się do mnie z prośbą o zamieszczenie mojego wiersza, nie odmiawiam. Znajduję tam czasem swoje wiersze pięknie ilustrowane, nawet nie wiem, skąd się tam wzięły i wdzięczna jestem tym, którzy je zamieścili.

KB:
Od wielu lat jest Pani wykładowcą uniwersyteckim. Czy amerykańska młodzież interesuje się poezją, literaturą, a bardziej szczegółowo – czy cokolwiek wie o polskiej poezji i literaturze?

AF: Trudno mi mówić o amerykańskiej młodzieży jako takiej. Ja uczę na jednym z najlepszych uniwersytetów i mam do czynienia z młodzieżą, która się interesuje literaturą. Innych nie spotykam, bo do mnie nie przychodzą. Ale widzę, że mój wnuk, który jest jeszcze na poziomie gimnazjum, czyta bardzo poważne lektury, uczą go analizować, porównywać. Wszyscy studenci na Columbia University muszą, niezależnie od kierunku, zaliczyć literaturę antyczną i współczesną.

Uczę języka i literatury. Na lektoraty z języka polskiego zapisują się studenci, którzy chcą dla jakiś celów zaliczyć ten język, albo jako wymagany język obcy, albo dlatego, że specjalizują się w historii Polski czy Wschodniej Europy, w historii Żydów, lub chcą studiować polską literaturę. Muszę powiedzieć, że większość moich studentów przeszła wszelkie moje oczekiwania, wielu z nich jest obecnie profesorami, czy też specjalistami w różnych dziedzinach. Nawet jeżeli nic nie wiedzieli przedtem o polskiej literaturze, do lektur wnoszą swoją wiedzę z innych dziedzin. Potrafią w analizowanym tekście odnaleźć takie elementy, o

których nawet polonistom się nie śniło i to zarówno w poezji Mickiewicza, prozie Norwida, jak i w powieściach okresu międzywojennego czy post-zależnościowego.

Nie mówię, że przedstawiam tu obraz całej młodzieży amerykańskiej, ale praca ze studentami, z którymi się zetknęłam w ciągu ponad trzydziestu lat na Columbii, dała mi wiele satysfakcji i wiele mnie nauczyła. Przede wszystkim, że należy wystrzegać się stereotypów w ocenie jakiejkolwiek grupy.

_____

„Tydzień Polski", Londyn, 14 marca 2016 r.

Od redakcji: W maju 2017 roku Anna Frajlich została wyróżniona statuetką „Wybitnego Polaka w USA". Uroczystość wręczenia statuetki miała miejsce w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Nowym Jorku.

http://www.dziennik.com/wiadomosci/artykul/znamy--tegorocznych-wybitnych-polakow-w-usa

http://poland.us/strona,20,26939,0,ny-wyroznienia-w--konkursie-wybitny-polak-w-usa-zostaly-przyznane.html
http://www.nowyjork.msz.gov.pl/en/news/celebration_of_the_-constitution_day_at_the_consulate_general_of_the_-republic_of_poland_in_new_york

---

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila” Ivana Binara: Podróż

przez komunistyczne inferno

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” Ivana Binara jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi.

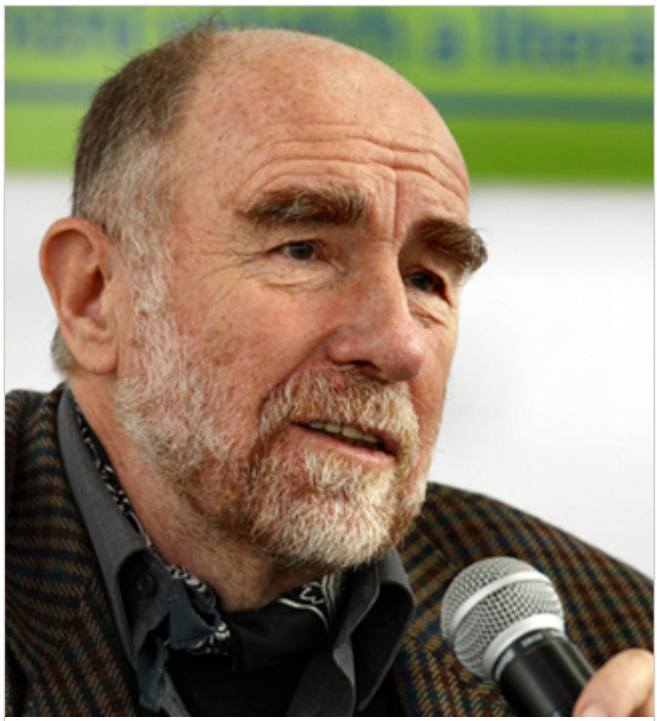

Ivan Binar, fot. wikipedia

Niech nikogo nie zwiedzie mający pozytywne konotacje tytuł powieści czeskiego pisarza Ivana Binara. Jego nawiązania do powieści przygodowej mają ukryte dno – są ironiczne: to raczej podróż przez piekło, choć nie opatrzono jej mottem z Dantego, ale cytatem z „Przygód dobrego wojaka Szwejka" Jaroslava Haška. Tym nie mniej jest to podróż fascynująca. Zmieniają się jej przewodnicy, a każdy z nich próbuje opisać świat pełen grozy i absurdu. Ale cóż to są za narratorzy! Jaka wyobraźnia! Blisko 400-stronicowa powieść Ivana Binara trzyma w napięciu od pierwszych scen po ostatnie.

Początek i koniec Wieńczysława Pawia – poety i podróżnika

Autorem wstępu i zakończenia powieści (pisanym kursywą dla odróżnienia od pozostałych narratorów) jest Wieńczysław Paw – poeta i podróżnik, jak zwykł się przedstawiać. Podróżnikiem zostaje się po przejściu przez… szafkę na narzędzia w elektrowni Zwycięski Luty, podobnie jak Alicja przechodziła przez taflę lustra. Z lustrem się nie udało, z szafką tak. Z przygód Pawia po drugiej stronie szafki powstała opowieść poprzetykana jego wierszami, która po śmierci przyjaciela została wysłana (wraz z szafką) przyjacielowi, który przebywał wówczas na emigracji w

Wiedniu. W ten sposób Wieńczysław Paw stał się naszym przewodnikiem po „drugiej stronie świata”, którą rządzi absurd. Co odkrył? O tym można się dowiedzieć z siedmiu rozdziałów powieści.

Walka Václava Netušila o nieżycie

Pierwszy spośród nich jest opowieścią o człowieku, który za nic nie chciał przyjść na świat, jakby wiedział, że nic dobrego go na nim nie spotka. Sama scena narodzin jest przedstawiona z iście czeskim humorem. Otóż jest zima, na zimnej kuchni siedzi ojciec mającego narodzić się bohatera, toteż nie można rozpalić ognia. Prośby służącej puszcza mimo uszu i już trzeci dzień siedzi tak z kotką Čičą (która odegra w powieści istotną rolę) i gra na oboju prostą melodię. Będzie ją grał także później, kiedy narodzony już syn i żona będą go raz do roku odwiedzać w zakładzie psychiatrycznym. Jego choroba jest raczej ucieczką do innego, spokojnego świata, w którym wszystko jest przewidywalne.

Ale wracając do sceny porodu, jest ona iście dantejska. „Nieurodek”, jak go określa narrator, protestuje i walczy, szarpiąc się tak skutecznie, że doktora odrzuca daleko. Z sypialni, gdzie rozgrywa się akcja porodowa, poprzez obszerną

sień, wpada do kuchni, otwierając w ten sposób drogę

> *Pastuchom, złym duchom* (tekst melodii) do łona rodzącej oraz do nienarodzonych jeszcze uszu Václava Netušila, który zdecydowanie opierał się naciskom.

Ale ponieważ walka otumania i czyni z istoty rozumnej nieomal szaleńca, doktor nie daje za wygraną i nie przyjmuje argumentów malca przeciw narodzinom, które w innych okolicznościach może by do niego dotarły. I mimo że Václav bił się o nieżycie – o prawo do nieistnienia, przegrał z kretesem i wydał ostatecznie „pełen bólu krzyk człowieka skazanego na życie", zagłuszając nim nawet monotonne dźwięki oboju.

Dlaczego narrator zdecydował się uczynić go bohaterem swojej opowieści? Otóż dlatego, że – jak mówi wprost – „stał mu się bliski w nieprzychylnych czasach, ponieważ był światełkiem w mroku"… Václav Netušil to inna twarz Wieńczysława Pawia oraz – jak się okaże na końcu powieści… Nie, nie zdradzę zakończenia!

Wędrówki rowerem dookoła świata



Powieść Binara ma szkatułkową strukturę, w obrębie której znajdziemy opowieści kilku narratorów, w tym historię samego pisarza, ale najciekawsze są fragmenty rękopisu Pawia. Choć narratorzy mają różne doświadczenia życiowe, opowiadają różnymi (w sensie stylistycznym) językami, to łączy ich jedno: próbują opisać opresyjny, komunistyczny świat, którego *de facto* opisać się nie da, tak jest absurdalny. Chłopczyk „z dobrej rodziny”, w marynarskim ubranku, dorastający w dostatku, choć bez ojca, musiał jakoś sobie poradzić w świecie, w którym można było „za nic” znaleźć się w więzieniu, gdzie poddawano delikwentów psychologicznej i fizycznej „obróbce”, zaś na wolności alternatywą było wojsko, a następnie praca w kopalni. Studia – tylko w przypadku odpracowania „na dole” kilku lat, a w praktyce – gdy podpisało się zgodę na współpracę z tajnymi służbami. A jednak niektórzy akceptowali ten stan rzeczy i próbowali się dostosować i

„urządzić”. Na Nowej Fajdlandii (nazwa znacząca) ludzie mieszkają w okropnych warunkach, w malutkich mieszkaniach. Mężczyźni są impotentami i siedzą całymi dniami w kuchni jedząc różne wzdymające pokarmy. Ubrani w tzw. pierdzistry, „produkują” gaz i dostarczają go do wiatrowni, a ta przerabia go na energię elektryczną. Wieńczysław Paw – podróżnik i badacz obcych kultur postanawia opisać także i to ciekawe doświadczenie. Dodajmy, że na Nowej Fajdlandii panuje system totalitarny. Obywateli pilnują urzędnicy Głównego Urzędu Wewnętrznej Naprawy, zwanego w skrócie GUWNO.

Václava Netušila żywot podwójny

Kiedy Václav Netušil nie jest Wieńczysławem Pawiem, dopada go rzeczywistość o wiele gorsza, niż przygody na obcej ziemi, choćby była nią Fajdlandia. Więziony, nakłaniany do współpracy, gwałcony i zamykany w karcerze, w końcu godzi się na współpracę i pisze taki oto autodonos:

> Osadzony Netušil Václav, numer 08157 5288, prowadzi przygotowania do ucieczki z więzienia. W tak zwanym czasie wolnym prowadzi rozmowy z gołębiami zamieszkującymi

> dachy zakładu karnego na Borach, będącymi własnością socjalistycznego państwa i namawia je do współudziału w czynie przestępczym, tj. opuszczenia wraz nim miejsca odbywania przezeń kary. (…) O swoich planach opowiedział oswojonej myszy Krystynie, zamieszkującej warsztat, z którą utrzymuje kontakty, wbrew postanowieniom regulaminu. Wspomnianej Krystynie obiecał, że zabierze ją ze sobą, jeżeli ta nauczy się służyć, czyli siedzieć na tylnych łapkach, machając przednimi.

Przytoczyłam ten obszerny fragment nie tylko po to, aby przyszły czytelnik powieści mógł uchwycić ten rodzaj humoru, który jest charakterystyczny dla całej tej powieści. Chodzi o coś więcej: absurdu nie da się opisać inaczej, jak właśnie językiem absurdu, nie ma w nim bowiem żadnej ludzkiej logiki. Nieludzki świat rządzi się swoimi prawami, których pojąć nie sposób. Niekiedy brakuje jednak słów, aby go opisać i w takiej sytuacji autor tworzy nowe słowa, jak choćby wspomniany już „pierdzistry” (połączenie kanistrów z pierdzeniem) czy „pszczowa” (kontaminacja pszczoły i krowy). Tym większe uznanie należy się tłumaczce tej niełatwej prozy, Dorocie Dobrew, która stworzyła w języku polskim stosowne odpowiedniki.

Śmierć bohatera

Śmierć Wieńczysława Pawia vel Václava Netušila jest czymś, co musi nastąpić. Na koniec przyznaje, że jego wędrówka była ucieczką przed tzw. rzeczywistością i przed sobą. Nie żałuje życia – nareszcie zazna spokoju. Ale pomimo to – już pod postacią pięknego motyla: rusałki żałobnika – nadal poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania. Chce je zadać swojemu „osobistemu upiorowi" – oficerowi SB:

> Co dobrego mogło wyniknąć z łamania ludziom charakterów, z manipulowania nimi, z prześladowania ich i niszczenia? Jaki sens miało krzywdzenie bliźnich, na co się to komu zdało?

Zamiast odpowiedzi spada na motyla miażdżąca łapa przedstawiciela tajnych służb i dusza nieszczęśnika rusza w dalszą drogę przy dźwiękach znanej od dnia narodzin melodii: „Pastuchy, złe duchy, wyście naszą wykę, wyście naszą grykę wypaśli…".

Powieść Ivana Binara „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata" jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi. Próba opisu tego

absurdalnego świata, poprzez różne narracje, pozwala wniknąć w mechanizmy nim rządzące i zrozumieć ogrom krzywd, które wyrządzono zupełnie niewinnym ludziom, nigdy im niczego nie rekompensując ani nawet nie ujawniając całej prawdy.

> Czekałem na to – pisze z goryczą autor, który poznał wprawdzie listę donosicieli, ale też odkrył, że wiele dokumentów „zaginęło” – aż nowi, prawdziwi przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych wyborach, odkryją prawdę, bo **bez prawdy nie istnieje sprawiedliwe, demokratyczne społeczeństwo.** Winnych trzeba wymienić z nazwiska, dopiero potem można odpuszczać winy.

Powieść Ivana Binara: „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea, w przekładzie Doroty Dobrew.

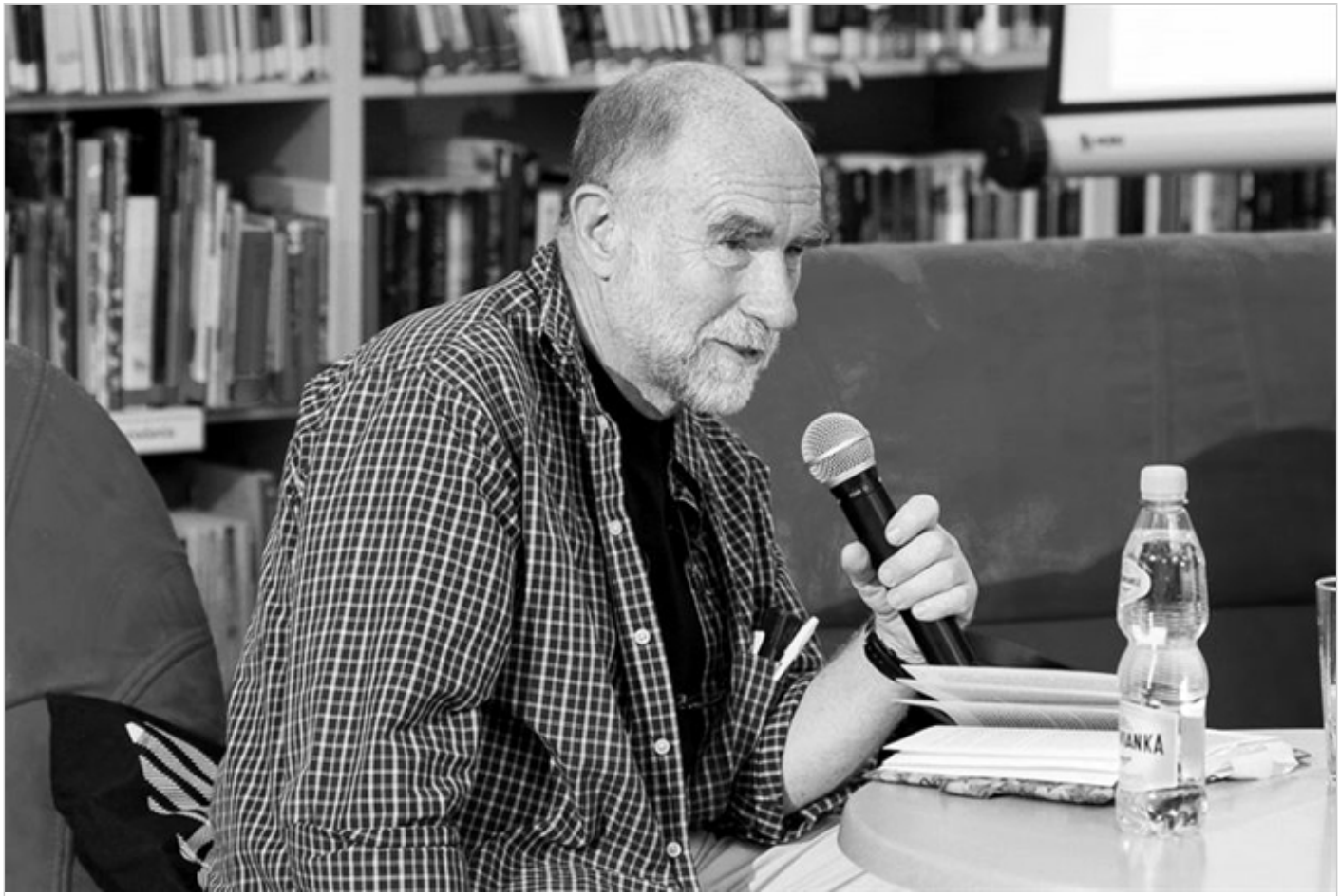

Ivan Binar, fot. kukatko,pl

Ivan Binar

Urodzony w 1942 w Boskovicach. Ukończył filologię czeską, historię oraz wychowanie plastyczne w Instytucie Pedagogiki w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel, redaktor naczelny czasopisma Tramp i współpracował z teatrem. W latach 1971-1973 był więziony za podżeganie do buntu. W 1977 roku wyemigrował do Wiednia, gdzie utrzymywał się pracując jako

tłumacz i konserwator ceramiki. Po sześciu latach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w redakcji Wolnej Europy. W 1994 roku wrócił do Pragi. Jest autorem czternastu książek. Pisze książki dla dzieci (ostatnio „Królik Fiala“, 2012) oraz dla dorosłych („Tylko smuga na niebie“, 2013).

www.kukatko.pl

Pamiątka po księdzu Janie



Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r., fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

> Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.
>
> Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty:

> “polna myszka siedzi sobie, konfesjonał ząbkiem skrobie”, “kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, “siostra Konsolata, bo kąsa i lata”, “rysowałem diabła bez rogów, bo samiczka” – i uspokoiłem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokaźny “Niecodziennik” stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy poczytnego poety, który posiadł rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

> POCIECHA
>
> To bardzo pocieszające
>
> że mimo promocji bełkotu
>
> układów i mistyfikacji

wbrew kumoterskiej krytyce

górują nadal czyste głosy

Herberta, Miłosza i Twardowskiego

że ze złomowiska instalacji

spod ezoterii i kuglarstwa

snobizmu i patologii

wydobywamy wciąż jeszcze

pożywny chleb poezji.

KSIĄDZ JAN

Dla M.P.

Już pochylony co niedzielę

wygłasza u sióstr wizytek

poetyckie homilie

dla niewiniątek w każdym wieku.

Bezkonkurencyjnie

wpisał się do księgi Guinnessa

za najkrótsze kazania

a jeszcze pewniej

w serca swoich słuchaczy

bezradnie wyciągających szyje

by niczego nie uronić

z jego mądrych szeptów

lecz rozumiejących bezwiednie

że dobroć słów nie potrzebuje.

Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.



fot. ShutterStock

Anna Habryn

Rozdział 7

– Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie…. Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem

widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

– Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ściskała w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wysiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoniła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

– Janie! – krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. – Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był jego prawnym opiekunem – nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

– Janie! – zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (…)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

– Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci pomarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wytłumaczył jej, że podczas ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z

transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód… Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

– Nie należysz do kombatantów? – zapytała teraz zdziwiona.

– Należę. Formalnie należę – powiedział i uśmiechnął się. – Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

– Nie najważniejsze? – Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

– Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

– No, czym naprawdę się szczycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

– Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

– Ale to są brytyjskie medale, nie polskie…

– Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów – powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

– Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

– No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki)

Anzac Day przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześnie. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy.

Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. “To i tak cud, że jest ich ciągle tylu”, pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

– Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: “Lewa, lewa…” Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

– Była pani w Warszawie? – zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

– A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypomniała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starała się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

– W prawo patrz! – zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: “Dziękuję, dziękuję”. Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

– Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie "Złota jesień". Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

– Złamał biodro – powiedziała.

– Jak?

– Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

– Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać – i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i… spał.

“Biedaku – pomyślała Mary – siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia.”

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

– Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

"Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no."

– Jak rozmawialiście? Po polsku? – zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

– Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi.

Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

– Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale… Janie, będziesz jeszcze dumny!”

Utarczka z Zygmuntem Nowakowskim (1891-1963)

Florian Śmieja



Zygmunt Nowakowski, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego, opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Nowakowski, wieloletni członek zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa, ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w

londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w prasie i radiu brzmiały jak orędzia.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księciu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że:

> To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle najlepszych intencji wyrażam.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się ostrych i gwałtownych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było

przed nimi obronić, a nieobyci młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski" zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała długo toczącą się dyskusję, emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia się w Londynie w roli petenta przepraszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen W. Sikorskiego.



Spotkanie z Czesławem Miłoszem. Od lewej: Florian Śmieja, Czesław Miłosz, Zofia Poniatowska-Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie w „Dzienniku Polskim", z 3 października zagrzmiał, że lokal, w którym się odbył wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma wysłałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta". Ciągnąłem dalej, że:

> Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie.
>
> Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:
>
> Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
>
> Za sobą mury polskie ciemnogrodu.

> Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „DziennikPolski", którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

> […]odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami" w instytucie im . gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu".

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Ująłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku, do którego szedł. Nie omieszkałem przy okazji włożyć mu do

kieszeni najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodzieńczej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?" Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przylgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez momemt nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

> I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

> Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w

> męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

– Dodając:

> A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Czy myślę nieskromnie, sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły ?